

— Tego nie rozumiem, co to znaczy, ale przypuszczam, że chciał swego współnika oszukać o dwadzieścia tysięcy rubli, które byłby sobie zabrał a w dodatku otrzymałby z podziału trzydziestu połowę. Byłby zatem zyskał trzydzieści pięć tysięcy.

— To możliwe, zwłaszcza, że przy Jasińskim znaleziono przeszło sześćdziesiąt tysięcy rubli.

— Więc pieniądze mu odebrano!

— Odebrano.

— I cóż z nimi rada zamierza zrobić? Powinna je oddać tym, których obrabowano. Moich tam jest dwadzieścia pięć tysięcy rubli.

— Nie wiem, czy oddadzą. Nie mają pieniędzy... zresztą, niech się pan upomni.

— Wątpię, by się to na co zdało.

— I ja wątpię. Ale muszę panu powiedzieć, że nie czas teraz myśleć o pieniądzach, gdy panu i pańskim krewnym zagraża bardzo poważne niebezpieczeństwo.

— Jakie niebezpieczeństwo?

— W papierach, zabranych Jasińskiemu, oprócz tego telegramu, znalazł się brulion raportu, pisanego do władz policyjnych w Warszawie.

— Co pan mówi? więc Jasiński byłby...

— Szpiegiem i prowokatorem, to już dziś nie ulega najmniejszej wątpliwości. Raport ten, o którym mówię, jest tego niezaprzeczonym dowodem, dokumentem bardzo jasnym i wymownym.

— Co za nikczemność! Posądzano go o to, ale ja go zawsze broniłem.

— I źle pan robił, bo ci, co go posądzali, mieli zupełną rację.

— Ileż podłości mieścić się może w człowieku! — zawołał Stanisław, i zamiast pytać o szczegóły owego raportu, zgodnie ze swą kontemplacyjną naturą, zagłębił się w filozoficzne i pesymistyczne refleksje o nikczemności natury ludzkiej, o tem, że ci, którzy uważają człowieka za najgorsze ze zwierząt na ziemi, mają niezaprzeczoną słuszość i t. p. I byłby zapewne snuł swe uwagi jeszcze długo, gdyby ich nie przerwał Jabłoński słowami:

— To wszystko prawda, ale tracimy czas. Nie pyta mi się pan, co zawiera ów raport Jasińskiego.

Słowa te obudziły niejako Stanisława, sprowadziły go z mglistych regionów filozoficznych refleksji na pole praktycznej, ziemskiej dolegliwości.

— A prawda! — zawołał jakby ockniony — i cóż ten raport zawiera?

— Zawiera on denuncjację, że główny udział w ruchu socjalistycznym i w utworzeniu republiki w X. brałeś pan.

— Ja?

— Tak, pan.

— Ależ to oczywiste kłamstwo!

— Dla nas, co wiemy, jak się rzeczy mają, jest to kłamstwem, ale dla władz warszawskich nie będzie ono takim. Prócz pana, jako głównych działaczy, wymienia Jasiński mnie, członków naszej rady najwyższej, pana Antoniego Wiśniewskiego, pana Józefa Kozłowskiego, panie Anielę i Magdalenę Schmid, na koniec jakąś panią Zenobią Kapuścińską.

To ostatnie nazwisko wzbudziło szczery śmiech w Stanisławie.

— Kapuścińska! — zawołał — ależ to pyszna komedia! Ha! ha! ha! a tom się ubawił! No! przecież mnie pan nie będziesz chciał przekonywać, ażeby takim nonsensom ktokolwiek uwierzył. Toć to śmiechu warte.

Jabłoński tem lekceważeniem denuncjacji Jasińskiego był zdziwiony.

— Doprawdy — mówił — nie pojmuję, jak pan, człowiek rozumny i znający stosunki krajowe, może tak lekko traktować tę sprawę.

— Ależ pan nie znasz Kapuścińskiej, a raczej nieboszczki Kapuścińskiej, bo ją te zbójce zamordowali, i dlatego rzecz tę na seryo traktujesz. Gdybyś pan znał tę babę, śmiałyś się razem ze mną. Pani Zenobia i rewolucja socjalna! Ha! ha! ha!

— Być może, żebym się śmiał, ale wobec tego raportu śmiać się nie mogę. Władze warszawskie na razie nie będą wchodziły w to, czy słowa denuncjacji są prawdziwe, tylko wszystkie osoby

w niej wymienione, przyaresztują. To jest niewątpliwe. Być może, iż śledztwo późniejsze wykaże niewinność pańską i innych, ale przez długi czas będziecie narażeni na tysiące przykrości i niebezpieczeństw. Nie zapominał pan, że żyjemy w czasach burzliwych, w czasach rewolucji, i że w takich czasach najlżejsze podejrzenie może spowodować ciężkie następstwa. A przytem niektóre osoby, wymienione w tym niecnym raporcie, w rzeczy samej czynny brały udział w ostatnich wypadkach, mianowicie pan Antoni Wiśniewski i panna Anielka Schmid.

— To prawda, ale Antek Wiśniewski jest ciężko chory.

— Tem gorzej dla niego, bo uciekać nie będzie mógł.

— Jakto? pan radzisz ucieczkę?

— A naturalnie. Natychmiastową ucieczkę, bo dni naszej Rzeczypospolitej są policzone.

— Przecież w Warszawie o niej jeszcze nie wiedzą, nie mogą wiedzieć.

— Myli się pan, wiedzą doskonale. Bo raport

uczestniczył w napadzie, to musiał się także dobrze obłowić.

— Wątpię, bo skoro przy Jasińskim znaleziono przeszło sześćdziesiąt tysięcy rubli, to ten... tam... Srułowicz, jak go pan nazywasz, nie dostał ani grosza.

— A to byłoby zabawne. Trafili franta na franta i wyciął mu kuranta. Łotry wzajemnie się okradali. Ładna paczka, ani słowa. *Kleine aber sehr elegante Gesellschaft*, jak mówią Niemcy.

— Hm! — rzekł po krótkim namyśle Stanisław — z tego co mi pan mówisz, sądę, że o odebraniu moich pieniędzy nawet marzyć nie można. Ci panowie, uciekając, będą potrzebowali gotówki, bo zapewne sami w nią nie obfitują.

— Naturalnie i zabójstwo Jasińskiego, jak z jednej strony otworzyło im oczy na grożące niebezpieczeństwo, tak z drugiej w sam raz przypadło, by umożliwić im ocalenie swych drogocennych nie głów, ale szyi.

— Nie idzie mi o moje dwadzieścia pięć tysięcy rubli — mówił Stanisław — nie dbam o pieniądze i nie zrukuje mnie wcale ta strata, ale idzie mi o pieniądze biednej panny Anielki Schmid i jej matki. Cóż one teraz zrobią? Te pieniądze to cały ich majątek.

— Zapewne, że strata to ciężka dla nich, ale nie powinny one teraz, gdy idzie o ich przyszołość, a może i życie, myśleć o pieniądzach. Niech uciekają, uciekaj i pan, dopóki granica otwarta, bo już jutro może być za późno. Oto moja rada. A teraz pana pożegnaj, bo muszę myśleć o sobie.

— Bardzo panu dziękuję za ostrzeżenie — mówił Stanisław, ściskając serdecznie rękę Jabłońskiego.

— Więc ostatecznie uciekasz pan? — spytał ten ostatni.

— Szczerze mówiąc, nie mam ochoty... cóż mi zrobią!... Jestem niewinny, a potem... czy warto się trudzić? Życie i tak jest marną rzeczą...

— Radzę panu, szczerze i serdecznie radzę, niech pan się nie waha, tylko ucieka. Tu będą straszne rzeczy się działy.

Ale Stanisław już był znudzony tą rozmową i pragnął ją jak najprędzej skończyć, rzekł więc:

— Dziękuję za radę, ale zobaczę, namyślę się... mam jeszcze czas. Ręczy w urzędach nie idą tak prędko. Noc już jest... poczekam do jutra. Noc przynosi dobrą radę, jak mówią przysłówie...

Ale gdy Jabłoński odszedł, Stanisław ziewnął, przeciągnął się i rzekł do siebie:

— Ani myślę uciekać, a to po co? Pogadam o tem ze stryjaskiem Józefem, jeśli jeszcze nie śpi, ale uciekać! zostawić samego Antka, ciężko chorego, Anielkę... nie, zostać trzeba i zostaną. Niech się dzieje co chce!



— Czy pan może wytłumaczyć nam, co to znaczy? — zapytał Jabłoński.

XXX.

ten wysłany przed dwoma dniami, już musi być w rękach władz warszawskich.

— Jakto wysłany? przecież skoro go macie w swym ręku, to nie został wysłany.

— My mamy tylko brulion raportu, który Jasiński niewiedomo dlaczego zachował, ale kopia tego brulionu, zapewne pięknie wykaligrafowana, bo ten łotr miał ładny charakter pisma, jest już w Warszawie i tylko patrzeć, jak tu zjawi się wojsko, władze, urzędnicy, żandarmi, a wtedy, kogo zastaną na miejscu, wezmą jak swego.

— Hm, to i pana, panie Marcinie, wezmą.

— Tak, tylko ja na to czekać nie będę.

— Uciekniesz pan?

— Naturalnie. Po cóż mam kłaść zdrową głowę pod ewangelię? Wszyscy uciekają. Nie upłynie i dziesięciu godzin, gdy szumnie głoszona Rzeczypospolita znajdzie się bez głowy i bez nóg. Nawet Litwak, Michał Srułowicz, pakuje cichaczem swe manatki.

— Zdaje mi się, że brał on udział w napadzie na Góry.

— To bardzo możliwe, bo jest to łotr nad łotrami i w ścisłej zażyłości był z Jasińskim. Jeżeli

Jabłoński mówiąc Stanisławowi, że członkowie rady najwyższej w republice w X., na skutek denuncjacji Jasińskiego, pakuja swe manatki i cichaczem się wynoszą, powiedział szczerą prawdę. Oni, przewodnicy, inicjatorowie, uciekali pierwsi, zostawiając zbałamuconych ludzi prostych, rzemieślników, robotników i t. p. na pastwę i na ofiarę. Sami zaopatrywali się w pieniądze, zrabowane w Górach przez Jasińskiego i odebrane temu Jasińskiemu, opuszczali swych „towarzyszy“, trzymając się tej burżujskiej zasady, że człowiek powinien dbać przedewszystkiem o własną skórę.

Zrazu z pomiędzy nowych republikanów, ani też z pomiędzy siły zbrojnej nowej Rzeczypospolitej, złożonej z trzydziestu młodych ludzi i uzbrojonych w rewolwery i karabinki, nikt nie zauważył tej tajemniczej dezercji naczelników. Ale powoli rzecz ta stała się głośną i oczywiście wywołała słuszną oburzenie. Gdyby się był wówczas ukazał na rynku w X. który z tych naczelników, byłby z pewnością padł od kul rewolwerowych, wymierzonych w niego.

(Ciąg dalszy nastąpi).